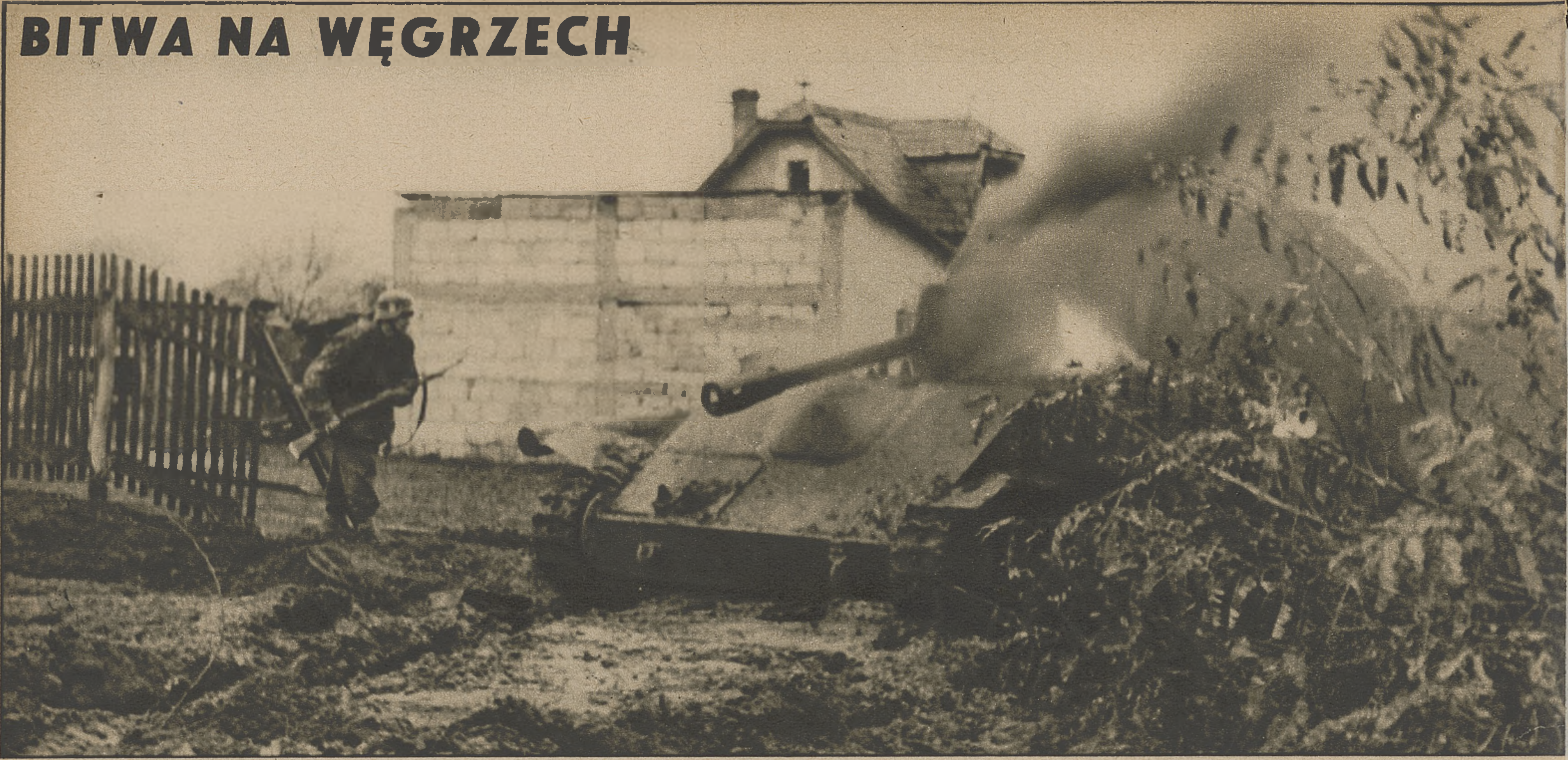
Nr. 51 Rok 5 Kraków, dnia 17 grudnia 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



LUDZIE PRZESTWORZA

BITWA NA WĘGRZECH



Między ogrodami i zniszczonymi płotami idą niemieccy grenadierzy. Wszędzie dokoła leżą w nieładzie płonące jeszcze sowieckie czołgi, świadczące o zaciekłości walk, które się tu rozegrały.



Powyżej:
Rowy strzeleckie w pierwszej linii bojowej. Stacja telegraficzna jest czynna bez przerwy. Ustawicznie przesyła ona meldunki do naczelnej komendy o każdym ważniejszym wydarzeniu na przedpolu.



Powyżej na prawo:
Ciężkie niemieckie działa szturmowe biorą udział w walce. Jedno powróciło co dopiero z bitwy, drugie przygotowują żołnierze do drogi na pozycję.

Fot: ∯-PK Keimling, PK-Scheck-TO, TO-EP.



Powyżej:
PATROL W LOTARYNGII
Między ciężko uszkodzonymi w walkach domami idą niemieccy zwiadowcy, by spatrolować najbliższą okolicę.



Na prawo:
W CHINACH
Japońska piechota w pościgu za rozbitymi wojskami Czungkingu w południowo-chińskiej dżungli.

Szkoły fachowe





Fot. Borek



Pomimo wojny szkolnictwo w Generalnym Gubernatorstwie zachowało się i rozwinęło. Odnosi się to zarówno do szkół powszechnych jak i fachowych. Przykładem tych ostatnich jest Fachowa Szkoła Chemii Technicznej w Krakowie. Kształci się tutaj obecnie 350 uczniów: chłopców i dziewcząt. Nauka, do której przygotowaniem jest ukończenie gimnazjum i dwuletniej praktyki zawodowej, trwa dwa lata i daje po egzaminie możliwość otrzymania pracy w aptekach, laboratoriach lekarskich, zakładach elektrotechnicznych i w wielu działach wielkiego przemysłu. — Ale nie tylko fachowcy doznają opieki w Generalnym Gubernatorstwie; również i ci mali i najmniejsi mają możność kształcenia się. W samym tylko Krakowie znajduje się 74 szkół powszechnych, po większej części siedmioklasowych. Spośród nich 65 szkół są to szkoły państwowe dla polskich dzieci, 4 szkoły pomocnicze, względnie specjalne, a mianowicie dwie szkoły dla dzieci upośledzonych umysłowo, jedna dla głuchoniemych i jedna dla dzieci chorych na egipskie zapalenie oczu. Poza tym istnieją 4 powszechne szkoły prywatne, przeważnie klasztorne.

Na powyższych czterech zdjęciach widzimy uczennice i uczniów podczas teoretycznej i praktycznej nauki chemii technicznej.

i powszechne







Trzy zdjęcia powyżej, na lewo i na prawo, przedstawiają fragmenty z pracy w Krakowskiej szkole żeńskiej. Do krakowskich szkół powszechnych uczęszcza 26.000 dzieci. Nauki udziela 530 sił nauczycielskich, 30 nauczycieli religii i 26 sióstr zakonnych.

w GG



Trzeba pogodzić się z faktem, że artyści — sławni, czy nie sławni — budzą niechęć i zgorszenie w naturach pospolitych.

Bardzo trafne jest francuskie przysłowie, które głosi: „Nie ma wielkiego człowieka dla jego fagasa".

Gospodyni wynajmująca pokój artyście lub artystce zawsze będzie coś miała do skrytykowania w postępowaniu swych lokatorów.

Taka dama od ścierki i szczotki do zamiatania, mając u siebie znakomitego felietonistę lub powieściopisarza, będzie opowiadała kumoszkom z przejęciem:

— Moja droga pani Migdalska! Niech pani sobie wyobrazi, że ten człowiek nigdy nie pozwala u siebie posprzątać. Żyje w chlewie, jak ta świnia. Stosy papierów, książek i niedopałków papierosów walają się po podłodze, a on sam — w brudnym szlafroku i nieogolony — wystukuje na maszynie jakieś bzdury...

— A żeby choć stukał w dzień, tak jak pan Bóg przykazał, to byłoby jeszcze pół biedy, ale on do takiej głupiej roboty zabiera się dopiero pod wieczór. Głowa puchnie! Ale mam już tego dosyć. Wyrzucę go z mieszkania od pierwszego.

O aktorze zgorszeni współlokatorzy szeptali sobie na ucho:

— Zboczeniec. Jak Boga kocham zboczeniec. Staje nago przed lustrem i wykrzywia się do siebie...

— A jak tu kiedyś wyszedłem z nim na ulicę, to takiego mi wstydu narobił, że teraz jeszcze, gdy o tym wspomnę, nie mogę się uspokoić. Wariat. Kiepski wariat! Wyobraźcie sobie państwo, że ni stąd ni zowąd przystawał pod latarniami, zdejmował z głowy kapelusz i całował słupy...

— Okropność! Wszyscy się na nas oglądali, a gdy spytałem się go dlaczego to robi, odpowiedział mi z przekonaniem, że czyni tak z rozkazu siły wyższej, która w taki sposób każe mu się upokorzyć...

Doktór, wezwany do śpiewaka, opowiadał ze śmiechem:



— Imaginat! Cała jego choroba jest z palca wyssana. Miał na sobie garnitur w kratkę i za nic nie chciał go zdjąć do oskultacji. Twierdził, że dla ścisłego określenia swych dolegliwości porachował kratki wzdłuż i wszerz swego ciała i zaznaczając na papierze odpowiednie numery bolących punktów, dopomoże mi w taki sposób do postawienia nieomylnej diagnozy...

Inny śpiewak twierdził, że ma szklany żołądek i z obawy, by się kiedy nie stłukł, stale nosił na sobie grubo wywatowany pas z napisem: „Ostrożnie", „Skło".

Znany rzeźbiarz, bardzo przesądny, wchodząc gdziekolwiek bądź kreślił nogą w progu znak krzyża.

— Odżegnuję złe duchy, które pragną mnie zgubić...

Pewien malarz pejzażysta obawiał się trzynastki więcej jak grzechu śmiertelnego i dla uzasadnienia swego strachu cytował parę faktów:

— Kiedyś, jedząc kompot, przyszło mi na myśl porachować pozostałe na talerzu wiśnie. A było ich trzynaście, no i czy dacie wiarę, że w tej samej chwili zakrztusiłem się w straszny sposób. Myślałem że trupem padnę...

— A wtedy gdy porachowałem kroki dzielące mnie od drzwi mieszkania mej narzeczonej i narachowałem trzynaście, pewien już byłem, że ona ze mną zerwie...

— Innym razem, studiując plein air'y w Bretanii, gdy deszcz zaczął lać jak z cebra, schroniłem się do pobliskiego zajazdu. Pod wieczór, gdy deszcz nie ustawał, zażądałem pokoju. Dano mi numer 13-ty, lecz nie głupi byłem tam przenocować. Uciekłem z oberży jak opętaniec. Pół nocy przesiedziałem na dworze pod drzewem. Suchej nitki na mnie nie było, lecz uniknąłem czyhającego na mnie nieszczęścia. Oberża stanęła w ogniu o świcie, a gość spod numeru trzynastego spłonął na węgiel...

Muzyk i kompozytor modnych szlagierów twierdził, że tylko w piątki zabiera się do nowej pracy. A musi wpierw obejść wszystkie kąty pokoju i odmawiać szeptem rodzaj zaklęcia z następujących słów: — Byłem, jestem, będę... I tak w kółko.

Czasami takie dziwactwa wyobraźni bywają wprost niebezpieczne, że przypomnę tutaj słynny proces pewnego francuskiego artysty, który w przekonaniu, że strzela do swego sobowtóru, wystrzałem z rewolweru położył własną matkę trupem na miejscu.

Z kobietami artystkami dzieje się jeszcze gorzej.

Bardziej nerwowe, nieopanowane i przeczulone padają często ofiarą własnej wyobraźni lub skazane są na tysiące nieprzyjemności ze strony bliźnich, z którymi los je styka.

Ktoś, gdzieś, kiedyś powiedział:

— „Kobieta utalentowana i inteligentna jest odruchowo nienawidzona przez wszystkie kobiety bez wyjątku i przez wszystkich głupich mężczyzn".

Ciągłe krytyki, ciągłe zgorszenie i ciągłe potwarze są jej udziałem, a o ile nie jest wyjątkowo piękną, staje się pośmiewiskiem otoczenia.

Słynna rzeźbiarka skarżyła się nieraz przede mną, że jak tylko pokaże się w podwórzu dzieciaki z całej kamienicy obstępują ją kołem, wrzeszcząc:

— Czarownica! Wiedźma! Baba-Jaga!

Zdolna dziennikarka, mieszkająca w pensjonacie, gdy stale zaczęła odbierać przysyłane jej z różnych Redakcji honoraria, wzbudziła wielką zazdrość w sercach swych współlokatorek. Wszystkie panie w pensjonacie zabrały się do pióra, twierdząc, że nic nie ma łatwiejszego jak mleć drukowane po gazetach artykuły. Po pewnym czasie spotkał je zawód. Redakcje stale odsyłały ich elukubracje. Znienawidzono dziennikarkę i zaczęto ją bojkotować, prześladować. No i doszło do takich nieprzyjemności, że zmuszona była wyprowadzić się z pensjonatu.

Do wrogiego nastroju otoczenia, może zapewne — często nieświadoma — ekscentryczność w zachowaniu przyczynia się niemało.

Tutaj należy przytoczyć znany wierszyk z „Kaczki-dziwaczki":

„Nad wodą w pobliżu krzaczka
mieszkała kaczka-dziwaczka,
co zamiast trzymać się rzeczki
robiła piesze wycieczki.
Zaszła raz do fryzjera
— Poproszę o kilo sera..."

Itd., itd., a gdy w końcu ta kaczka stała się pośmiewiskiem wszystkich:

„Gryzły się kaczki okropnie
— A niech tę kaczkę gęś kopnie..."

I znowu trzeba się z tym pogodzić, że natury przeciętne nie lubią odskoków od przyjętego szablonu. Chętnie cytują przysłowie:

— „Jeśli wleziesz między wrony, musisz krakać tak jak one".

Kiedyś w W., gdy zobaczyłam znaną mi malarkę siedzącą na brzegu trotuaru, jednej z głównych ulic, i najspokojniej zzuwającą swój pantofelek, wykrzyknęłam przerażona:

— Bój się Boga! Co ty robisz?

Podniosła na mnie zdziwione oczy.

— Kamyk mi wpadł do pantofelka, więc chcę go wytrząść...

Ta czynność wydawała się jej całkiem naturalną i dopiero, gdy zwróciłam jej uwagę, że nie robi się takich rzeczy na ruchliwej ulicy, spostrzegła, że jest otoczona ciżbą gapiów wrogo nastrojonych.

Młoda i nader urodziwa poetka miała jakąś niezrozumiałą obawę pozostawania samej w zamkniętym na klucz mieszkaniu. Któregoś poranku, gdy spostrzegła, że jej służąca wyszła na miasto i zamknęła mieszkanie na dwa spusty, rzuciła się na balkon w koszuli, jak oszalała, wrzeszcząc na całe gardło:

— Ratunku! Ratunku!

Po chwili pod jej balkonem zrobiło się niesłychane zbiegowisko. Znoszono drabiny z sąsiednich podwórzy i w taki to sposób oswobodzono uwięzioną maniaczkę.

A nie spisałby i na wołowej skórze tych wszystkich przykrości i najnikczemniejszych potwarzy, którymi są darzone artystki sceniczne.

Takie panie z „desek" nigdy, przenigdy nie mogą być uczciwe i godne poszanowania. Takie panie z urzędu muszą być traktowane z pogardą przez podeszłe w latach dewotki całej dzielnicy lub przez młode — a nieraz bardzo złego prowadzenia — żony i córki okolicznych sklepikarzy i urzędników.

A co mówić o tych setkach anonimów,



które są o nich rozpisywane lub przez nie odbierane codziennie.



Pewna śliczna młodziutka tancerka zapłakiwała się przede mną, gdy narzeczony z nią zerwał na skutek takiego anonimu, w którym zresztą słowa prawdy nie było.

Nawet tragiczne samobójstwa bywają następstwem takich zjadliwych listów, więc nie ma dość silnych słów na napiętnowanie podobnych podłości.

Poza tym byle zakochany dureń rości sobie prawo do wzajemności lub uległości takiej damy z „desek". A gdy mu tej wzajemności odmówią, nie posiada się z oburzenia. Uważa, że dzieje mu się niesłychana krzywda lub zniewaga i nie cofa się przed szukaniem zemsty.

W W. jest marmurowy pomnik, przedstawiający piękną skośnooką młodą dziewczynę. Była nią przed laty nader utalentowana artystka dramatyczna, zastrzelona podstępnie i w sposób niegodziwy przez zakochanego w niej oficera byłej carskiej gwardii.

Hazet

PLECIONE KUKIEŁKI

W dawnych czasach, gdy ojciec lub matka wybierali się na jarmark do dalekiego miasta, dzieci przykazywały swoim rodzicom: — a przywieźcie nam gościńca!

I tatuś lub mamusia przywozili gościńca. Każdemu coś się dostało. Ten dostał buty, które mu się już należały, bo zima blisko, tamten czapkę baranią, córka chustkę na głowę czy zapaskę, a małe dzieci obowiązkowo musiały dostać plecioną kukiełkę. Nie bułkę „kajzerkę", ani obwarzanek, chociaż i ten nie był do pogardzenia, ale koniecznie kukiełkę, taką plecioną. Wtedy dopiero mikrus czuł, że został obdarowany. Bo dzieciom potrzeba kukiełek!

Tak, trzeba dzieciom kukiełek! I im jest ciężej, im dzieci więcej braków odczuwają, tym więcej kukiełek im dajcie! One im dadzą radość i zapomnienie.

Tak wołamy i wołamy przy wtórze szczebiotów dziecięcych i czekamy na odzew.

I kukiełki się zjawiły. Są i te z ciasta plecione, których obfitość znajdziesz na rynku i w arkadach, są także i te splecione z piosenek, baśni, humoru i muzyki. Jedne i drugie zjawiły się w samą porę, bo wreszcie trzeba coś odpowiedzieć dzieciom naszym, gdy się spytają:

— A przywiozłeś mi gościńca?

Krakowski Teatr Kukiełek plecie swoje kukiełki od niedawna, bo dopiero od maja br. Po krótkiej przerwie teraz wznowił swoje wytwory, przybrał sobie nowych współpracowników i plecie dla wszystkich: dla starszych także. Bo i starsi pragną teraz wrócić się do dawnych dobrych czasów i przypomnieć sobie smak kukiełek. Ale najwięcej plotą dla dzieci.

Ot, dzisiaj właśnie dali dzieciom plecionkę humoru, pieśni, tańca i trochę pierników od Mikołaja.

Sala dawnego kina „Atlantic" wypełniona po brzegi publicznością dziecięcą, wdzięcznymi odbiorcami plecionek. Wszędzie gwar i podniecenie. Wdzięczną i trudną pracę ma zapowiadacz. Przemówienie do umysłów dziecięcych i zainteresowanie produkcjami jest prawdziwym wyczynem pedagogicznym, z którym wytrawny kierownik teatru daje sobie świetnie radę. Również i produkujący nie lada trudności mają do pokonania.

Teatrzyk jest przeznaczony dla publiczności młodocianej i program tak przedstawień kukiełkowych jak i występów żywych aktorów jest również w przeważnej części przeznaczony dla młodzieży, zwłaszcza szkolnej, chyba że afisz zapowiada inaczej, tzn. jeśli jest występ jakiejś znakomitości śpiewaczej lub muzycznej. Wtedy i starsi ludzie mają wstęp do teatru kukiełek, tym razem jednak bez kukiełek.

Warto usłyszeć i zobaczyć nie tylko produkcje kukiełkowego teatru, ale równie ciekawa jest obserwacja dzieci i podsłuchiwanie ich pytań:

— Mamusiu, cemu ta filanka się nie otwiela?

— A dlacego oni tak śpiewają?

— Co ten pan mówi?

Ci co kochają dzieci, pokochają także to co dzieci cieszy i tych, którzy dzieciom sprawiają radość, którzy prawią im „Bajowe bajeczki" i każą marzyć o „Niebieskich migdałach".

Plećcie dzieciom kukiełki, bajcie im o bajach, obdarowujcie niebieskimi migdałami a będą wam wdzięczne i dzieci i rodzice. A wdzięczność dzieci i kochających je rodziców, którzy się cieszą radością swoich dzieci, więcej znaczy, bo jest od serca, aniżeli poklask zblazowanej publiczności wieczorków dla starszych, nie umiejącej się śmiać ani entuzjazmować.

Nurek

W JODŁOWYM POSZUMIE

W parku, wśród alei i skwerów
w gwarnym rytmie spacerów
śnię patos spoczynku.

Zieloność — w drzewach poszumie
uciszy serce — zrozumie
dni przesuwane udręką.

W srebrnej rosie poranka
upojna ptasząt wiązanka
śpiewań we mnie nie zmieści.

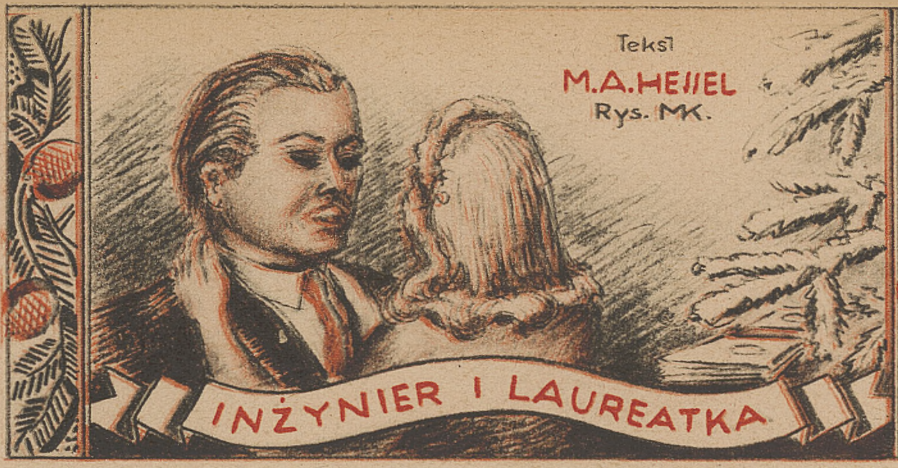
Nad jodłami hen w górze
myśl-tęsknicę zanurzam
leciutki wietrzyk mnie pieści.

*

A gdy los mnie odwoła
do szarych dróg koła
na mapie zaznaczę kreską

szumy jodłowe — wonie lipowe
i Twoich oczu niebieskość.

Amalia Łuczyńska



gmunt przyjął propozycję „Karpackiego Trustu". Wprawdzie osobiste warunki pracy, które miały dla niego zaistnieć, były mniej przyjemne od tych, jakie miał obecnie w „Towarzystwie Naftowym" — ale Trust zaproponował tak doskonałe warunki materialne, że Zygmunt postanowił odpowiedzieć pozytywnie z uwagi na Małgorzatę. Świeżo otrzymany list od niej rozwiał resztę wahań. Zygmunt postanowił natychmiast przesłać odpowiedź przedstawicielstwu Trustu, tym bardziej, że cały wieczór poświęcił na załatwienie korespondencji. Małgorzacie zawsze odpisywał w dniu otrzymania od niej listu, zatem „po drodze" załatwi Trust i odpisze matce, która miesiąc już czekała na list od niego.

Zygmunt usiadł przy biurku, zaświecił stojącą lampkę i wydobył z szuflady karton listowy. Energicznym wyraźnym pismem nakreślił w kilku zdaniach odpowiedź na propozycję „Karpackiego Trustu". Odczytał tekst, włożył listownik do koperty, zakleił, zaadresował i położył na prawej płycie biurka, gdzie układał zawsze służącemu pocztę gotową do wysyłki, o ile nie zabierał jej ze sobą.

Następnie napisał niezbyt długi, ale tkliwy list do matki. Przyrzekał jej, że jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli, wnet już zabierze ją do siebie. Pisał również dużo o Małgorzacie. Imię jej wciąż powtarzało się wśród różnorodnych tematów, gdyż wracał do niego z uporem miłości.

„— Wysyłam równocześnie list do Maty — pisał — a więc ucałuję ją od Ciebie. Otrzymałem dziś od niej list, w którym pozdrawia Cię i bardzo troszczy się o Ciebie, moja Staruszko! Naturalnie zgodziła się radośnie na spędzenie świąt u Ciebie i przygotowuje Ci nadzwyczajną niespodziankę, ale jaką — tego niestety nie wolno mi zdradzić!"... Zakończył. Włożył list do koperty, zakleił, zaadresował i złożył obok poprzedniego listu.

„Trust" — to była sprawa fachowa, po prostu interes i kwestia egzystencji. List do matki —to pewnego rodzaju serdeczna pańszczyzna, bo choć Zygmunt kochał matkę głęboko i był najlepszym synem — nienawidził pisania listów, jak większość mężczyzn. Teraz więc dopiero ze „spokojną głową" zabierał się do listu, który był przyjemnością i rozkoszą: list do narzeczonej.

Podniósł oczy na fotografię, stojącą w ciemnym ramach nieco powyżej jego głowy. Uniósł się nagle, wyprężył ramię, zdjął fotografię i zbliżył do oczu. Patrzył i patrzył, uśmiechając się tkliwie, na fotografię, z której spoglądała ku niemu — ...de gustibus non est disputandum... — najpiękniejsza kobieta na świecie. Czy to w żywą, gdy ją miał przed sobą, czy też w jej fotograficzną odbitkę — potrafił wpatrywać się bez znużenia. Jakąś szaloną siłę przyciągającą i urzekający wprost czar miała dla niego ta twarz „malutka jak piąstka" (jak to określił) o skupionym wyrazie i zamyślonych oczach. Co mu się tak ogromnie podobało w niej — nie umiałby określić. Wszystko!

Odwrócił fotografię na drugą stronę i odczytywał umiane już z dawna na pamięć słowa, skreślone jej ręką:

...Bóg zliczał chwile smutków i rozterek...
Aby uciszyć męki i tęsknoty
rzucił na ziemię najpiękniejszą z pereł:
P e r ł a upadła wprost pod moje stopy!

Ilekroć odczytywał te słowa przypominały się mu okoliczności, wśród których poznał Małgorzatę i wszystko, co zaszło, zanim udało mu się nieomal wydrzeć ją z ramion innemu mężczyźnie i zdobyć dla siebie. Nie bardzo jeszcze wierzył w ten cud i wciąż zdawało mu się, że śni. Właściwie nie walczył o nią — nie miał w naturze skłonności do narzucania się, przy tym rozumiał, że jeżeli Małgorzata samorzutnie nie odpowie na jego uczucie — szkoda każdego słowa. Cierpiał, zmagał się sam z sobą i z miłością, czekał, czuwał, nie pozwolił zapomnieć o sobie — wreszcie pewnego dnia na paluszku Małgorzaty znalazł się zaręczynowy pierścionek.

Małgorzata obdarzona była wybitnym talentem literackim i wybiła się bardzo wcześnie. Obecnie była „modną" autorką. Duszą całą poświęcała się umiłowanej pracy, która bywała jej odskocznią i ucieczką, a wówczas i jedynym szczęściem, w najcięższych chwilach życia. Zygmunt, który w ogóle nie był obojętny dla Muz, uwielbiał wszystkie twory Małgorzaty jeszcze zanim ją poznał. Inteligencja, słodycz i tragiczna często powaga jej słów, wiązanych wykwintną formą, uderzały go zawsze tak silnie, że po przeczytaniu którejkolwiek z jej prac był długo pod wpływem tej potężnej kobiecej indywidualności. Gdy ją wreszcie poznał przypadkowo — młodą, ładną i elegancką kobietę — w jednej chwili złożył u jej nóg najwyższy kult i... upodobanie, na jakie tylko mężczyzna może się zdobyć. Zdobycie tej kobiety stało się bolesną wprost ambicją jego życia.

Powoli potrafił wreszcie jakoś przekonać ją o swej wartości i swej miłości. Dokazał nie tylko tego, że przyjęła zaręczynowy pierścionek: — zaczęła darzyć go uczuciem, które nie było ani udawane, ani przesadzane. Dokonał znacznie więcej, niż... wiedział, bo tego, że Mata uznała go wreszcie — jego jedynego — za prawdziwie odpowiedniego partnera życiowego dla siebie. Zdobył ją najistotniej, bo zdobył wraz z jej sercem i zaufanie, którym nie obdarzała absolutnie nikogo, nawet tego, któremu wyrwał ją z ramion swą miłością cierpliwą a czujną.

Obecnie był o tyle pewnym Małgorzaty i jej wzajemności, o ile może być pewnym mężczyzna kochający absolutnie — bo zmysłowo i duchowo — kobiety młodej, rzuconej w wir życia i wciąż narażonej na „adoracje" mężczyzn. Toteż trwożył się o swe szczęście. Była oddalona od niego i Zygmunt doświadczał wiecznego miłosnego niepokoju, czy on, inżynier górniczy, zwykły „nafciarz", człowiek poważny, spokojny, przeciętny, nie wybijający się ponad mężczyzn żadnym geniuszem, zdoła zatrzymać w skromnej klatce rzadkiego ptaka.

Wydobył z portfelu otrzymany właśnie list od niej (wszystkie zawsze nosił przy sobie, bo odczytywał je bezustannie w każdej wolnej chwili) i czytał już po raz piąty lub szósty z rzędu. Umiał go niemal na pamięć. Pochłaniał po wielekroć ustępy, zdania i poszczególne słowa jej listu — wypełniony szczęściem po brzegi. Nareszcie, po szeregu miesięcy, po szeregu rozmów, w których on nalegał, a ona ociągała się wciąż i wciąż — wyraziła oficjalnie swą zgodę na ślub po Nowym Roku. Zygmunt pragnął tej formalności tym silniej, im natarczywiej uchylała się od niej Mata. Chciał jak najszybciej zaangażować ją wobec siebie tak, by nie miała już odwrotu, by mógł być całkiem pewnym, że nikt mu jej nie odbierze. Chciał ją mieć przy sobie wciąż, widzieć jej twarz, słyszeć jej głos, odczuwać jej obecność. Miłość zawsze dąży do jak najszybszego i zupełnego zdobycia wybranej istoty.

Małgorzata kochała Zygmunta całą duszą, której ani życie ani przeżycia nie potrafiły zmienić. Należała do niego w zupełności i każda jej myśl była przy nim. Ale Małgorzata była dzieckiem Sztuki, kochała wolność i swoją pracę. Małżeństwo zagrażało im w dość ostrej formie.

„Ciężko to i trudno być partnerem życiowym dziecka Sztuki" — podsuwała mu nieśmiało w jednym z listów. Zygmunt wówczas odpisał: „Dla dzieci Sztuki (szczególnie gdy to dziecko ma złote włosy i niebieskie oczy), jestem z całym uznaniem i podziwem. Byłbym ostatnim z ostatnich, który by sobie pozwolił na to, aby istotę naznaczoną przez Boga ściągać ku brudom ziemi, dla jakichś osobistych celów, czy wygód. Ambicją moją byłoby raczej starać się wznieść na te wyżyny, na których ty przebywasz."

Małgorzatę zalała fala zachwytu i gorącego szczęścia. Czytała wciąż — i wciąż — te słowa najdroższe, w których jak kwiat w przeźroczej wodzie przeglądała się nie tylko cudnie piękna dusza, ale przede wszystkim — miłość. Rozumiał ją. Bo kochał. Kochał tak głęboko, że chciał rozumieć. Od razu przypomniały się jej jego słowa, rzucone raz w obojętnej dyskusji w jej obecności:

— Żona, to nie jest zaślubiona kucharka. Żona, to zaślubiona kochanka.

Zygmunt w ogóle różnił się zasadniczo od wszystkich mężczyzn, a różnica ta istniała nie tylko dla bezkrytycznych oczu kochającej kobiety: istniała naprawdę. Małgorzata, którą mierziło chamstwo i megalomania mężczyzn, a płytkość i brudne erotomanie budziły w niej ohydę i wzgardę — uwielbiała czystość serca Zygmunta, jego duchową głębię i wrodzoną rycerskość. Im bliżej poznawała go, tym był jej droższy i bliższy, bo tym jaskrawszą różnicę widziała pomiędzy tymi, którzy ją otaczali i uważali, że robią zaszczyt kobiecie zwracając na nią uwagę — a nim samym. Często myślała nad tym, że istotnie Bóg dla niej „rzucił na ziemię najpiękniejszą z pereł".

Gdy stwierdziła, że jej reakcje uczuciowe, myślowe i zmysłowe w odniesieniu do „Ziutka" splatają się w doskonałą harmonię — wiedziała już, że ten mężczyzna jest w jej życiu ostatnim, bo po nim żaden nigdy nie nasyci już jej człowieczeństwa, kobiecości i wymagań artystycznych, stawianych na platformie życia we dwoje. Powierzała mu przecież wszystkie drgnienia swej duszy, wszystkie swe myśli i twórcze plany. On był najpierwszym czytelnikiem i krytykiem jej prac (był raczej wielbicielem...). Zwierzała mu się ze wszystkiego, miała ślepe zaufanie do jego życiowego rozsądku i równowagi, często prosiła o radę, lub pytała o zdanie. Wzajemnie stali się dla siebie wszystkim. „Ziut" względnie „Ziutek", czy też „Ziucik" nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak drogim i... potrzebnym był Małgorzacie. Indywidualna i silna jako człowiek i artysta — Mata jako kobieta była taka sama jak wszystkie: do egzystencji potrzebowała miłości mężczyzny. Z niej każda kobieta, nawet najmądrzejsza, czerpie swą siłę. W miesiącach narzeczeństwa z Zygmuntem talent Maty rozkwitł wprost wspaniale. Na milion kobiet może jedną stać na sprawianie mężczyźnie takich przyjemności, jakie stały się udziałem „Ziuta". Na biurku u niego piętrzyły się stosy dzienników i tygodników. Tam „podawała" Małgorzata wybranemu mężczyźnie najcudowniejsze owoce swej miłości i swego talentu. Wszystkie poezje czy prozy Maty wydawały się mu cudownie piękne — bo tam była ich miłość, ich cudowna przeszłość i jeszcze cudowniejsza przyszłość. To była cała, najistotniejsza „Ona", Małgorzata.

A ona w chęci uszczęśliwienia go przechodziła samą siebie. Było rzeczą niemożliwą drukować naraz wszystko, co tworzyła dla niego — przez niego — o nim — lub z myślą o nim —, gdyż on stał się dla niej najczystszym a niewyczerpanym źródłem natchnienia. Więc często, a nawet nieraz przez kilka dni z rzędu co dzień, spadały na biurko Zygmunta wąskie bladoniebieskie koperty. Ale wtedy nie list stanowił ich zawartość... Nie dopisywała wtedy ani jednego słowa... Czyż było to potrzebne? Przecież w każdej z tych poezyj było między wierszami (dosłownie: wierszami) tysiąckroć więcej, niż by Małgorzata umiała i chciała napisać w najszczerszym i najdłuższym liście. Te subtelne, cudne, bajecznie kolorowe kwiaty swej duszy, składała do rąk ukochanego człowieka całymi pękami.

A przecież szczęście ich nie było tak zupełne, jakby oboje tego pragnęli. Trzydziestocztero-letnia kobieta i czterdziestopięcioletni mężczyzna nie potrafią, choćby chcieli, podchodzić do życia tak, jak podchodzą do nich dziewczątka czy młodzieńcy. Oboje — i Małgorzata i Zygmunt — mieli za sobą bóle i doświadczenia. Nic nie potrafiło zabić w nich umiejętności kochania — ale gotowość ufania musiała ulec osłabieniu. Raz przeżyty ból osiada rdzą na ludzkiej duszy.

Fot.: „Eurofot"

NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM...

Tekst.: „Stef-Kra."



W pięknej kreacji choreografii
Wieleż nastroju, wieleż wyrazu...
Wdzięczny ruch ramion — o, nie potrafi
Byle dyletant stworzyć obrazu
Harmonii linij, czaru postaci,
Za które profan poklaskiem płaci...



Czyż pierwowzorem nie były może
Kiedyś, w przeszłości, w Południa krajach,
Wiotkie flamingi, wpatrzone w zorze
Zachód złocące na Wysp wyrajach,
lub w jakimś Zoo, hen — na obczyźnie
O swej słonecznej śniące Ojczyźnie!



Boć i ta poza wzięta z baletu,
Pomysł tancmistrza girls'ów zespołu
Nie własne dzieło... Tak, bez sekretu,
Choć nie wymaga wiele mozołu,
Jakkolwiek wdzięczna i wyuczona
Naprawdę także jest..., przywłaszczona!



Czy w krótkiej drzemce w upalne rano,
Czy w przedwieczorną wybrzeża ciszę,
(Dokładnie sprawy tej nie zbadano
Ni żadna książka o tym nie pisze),
Flaming z schowaną w puch grzbietu głową
Właśnie wymyślił pozę t a k o w ą!

Raz doświadczony zawód czyni człowieka — zwłaszcza dojrzałego — ostrożnym, czasem bez powodu i wbrew chęci.

Zygmunt niejednokrotnie zadręczał się rozmyślaniami, dlaczego Mata chce go, jako takiego, lub naodwrót — dlaczego mogłaby przestać go chcieć.

Mata przeżywała również wahania i niepewność: czy on ją naprawdę kocha, czy zasadniczą rolę odgrywa u niego ambicja i miłość własna. Ostatecznie należała do kobiet, które przynoszą chlubę męskiemu gustowi. A Mata tak nie ufała mężczyznom... Zaś Zygmunt tak nie ufał kobietom... Toteż gdy przyszłość ich poczęła przybierać konkretne kształty dzięki jej decyzji, Zygmunt rozpisał się, jak nigdy dotąd...

...i oto słowa, zdania, ustępy — piętrzyły się zalewając stronę arkusza, potem drugą, trzecią, czwartą... Wreszcie: „całuję łapki twoje i oczęta i usteczka, ukochana moja, najsłodsza i jedna — Ziut".

W tej chwili całował myślami nie tylko jej „oczęta i usteczka", ale ją całą. Złożył arkusz, włożył do koperty, zakleił — i w tym samym ułamku sekundy ciszę przerwał ostry dźwięk telefonu.

Zygmunt odsunął nieco blok listowy z leżącą na nim zaklejoną, niezaadresowaną kopertą i spiesznie podszedł do aparatu, nieco zdziwiony. Podniósł widełki.

— Hallo...

Gorączkowy głos po drugiej stronie przewodu spytał:

— Czy pan inżynier?

— Jestem przy telefonie!

— Tu starszy wiertacz Grzeszczak. Pożar, panie inżynierze! Szyb „Liliana" w płomieniach! „Alfred" także! Najbliższe zagrożone! Na koronie „Liliany" poparzyło śmiertelnie dwóch ludzi. Na dolnym pomoście było pięciu — poparzeni! Na „Alfredzie" ośmiu rannych! Wybuch szalony, przyczyn nie wiemy. Nikt nie podchodził z ogniem... Nie wiemy, co — — — — —

— ...zaraz tam będę — przerwał Zygmunt. — W tej chwili wychodzę z domu!

Trzasnął słuchawką, zapominając w jednej chwili o całym świecie.

Porwał czapkę narciarską i płaszcz. Służącemu, który w tej chwili właśnie wszedł do pokoju, krzyknął niemal w ucho: — „Pożar na szybach" — i wybiegł w pierwszą właśnie noc grudniową, białą od śniegu a czerwono-żółtą od żywiołu, który rozszalał się nad pobliską kopalnią.

*

Lokalizacja ognia trwała nieprzerwanie cztery noce i cztedy dni. Brał w niej udział cały personel techniczny i administracyjny. Zygmunt na równi z „górnikami" nosił wory z piaskiem, kierował akcją niestrudzenie, bez jadła niemal i snu. Dwa następne szyby — jego ulubione — „Błękitny" i „Perła" — eksplodowały nazajutrz mimo rozpaczliwych wysiłków zapobiegawczych, parząc znowu kilku ludzi. Miejscowa ludność ofiarnie szła z pomocą kopalni — i wreszcie płomienie uległy formalnym wydmom i górom piachów i ziemi. Zgasły.

Zygmunt cierpiał, jak po stracie najdroższych dzieci. Sam przecież wiercił te szyby, wznosił wieże, zaangażował osobiście ludzi, którzy teraz leżeli w miejscowym szpitaliku poddani troskliwej kuracji. Jego praca doprowadziła kopalnie „Towarzystwa Naftowego" do rozkwitu.

Znużony śmiertelnie, nie mogąc formalnie utrzymać się na nogach, musiał wreszcie odpocząć. Ślepo oddany swemu „jenżynierowi" Klimek, pół-woźny, pół-służący, ukąpał Zygmunta jak małego chłopca, wpakował do łóżka, napoił herbatą i winem. Zygmunt zasnął niemal natychmiast i spał kamiennym snem, nieprzerwanym, całe dwanaście godzin. Klimek chytrze zdjął z widełek słuchawkę, a sam siedział w kuchni jak drewno, by szelestem nawet nie przerwać snu i odpoczynku wymęczonemu panu. Po jego wyjściu a raczej wybiegnięciu na kopalnię w dzień pożaru, sprzątnął pozostawione na biurku utensylia korespondencyjne, dwa listy położone na prawej płycie zaniósł zaraz na pocztę i rzucił do skrzynki, a po powrocie do domu na wszelki wypadek przygotował łóżko i kolację. Gdy inżynier nie wrócił do jedenastej w nocy — zaniósł mu Klimek kanapki i herbatę w termosie. Zygmunt nie jadł nic, ale pił chciwie, zmęczony i trawiony podnieceniem. Przez cztery dni jadł bardzo mało, niemal nic, spał zaledwie godzinę na dobę i to na krześle w administracji, której budynki, jako blisko położone, a drewniane, też ratowano rozpaczliwie.

Nazajutrz, gdy Zygmunt o dziesiątej rano siadł zbudzony na łóżku, pierwszym słowem zapytał o list od Małgorzaty. Nie zmartwiła go odpowiedź przecząca, bo list od narzeczonej otrzymywał mniej więcej w tydzień po wysłaniu własnego listu do niej.

Zaraz po śniadaniu poszedł na kopalnię, obiad jadł w dyrekcji, gdzie niezwłocznie zwołano konferencję celem ustalenia strat i uzgodnienia projektów rekonstrukcyjnych. Rozpoczęto nawet prace, mające na celu usunięcie gruzów i zgliszczonych wież. Zygmunt upoważniony przez właścicieli wydał zaraz odpowiednie zarządzenia. Utonął w pracy. Na firmowym blankiecie „Towarzystwa Naftowego" napisał w kancelarii urzędowej do przedstawiciela „Trustu" z prośbą o przesunięcie terminu umowy na następny kwartał, a więc do 1. lipca, gdyż nie może opuścić s w y c h dotychczasowych chlebodawców w najcięższej dla nich sytuacji. „Trust Karpacki" zgodził się skwapliwie, zwłaszcza, że prośba Zygmunta zorientowała ich, jak sumiennego pracownika zdobywają dla siebie.

Poczęły znowu płynąć dni za dniami — pełne pracy, trosk i monotonii, a list od Małgorzaty nie przychodził. Zygmunt począł się niepokoić. Może Mata jest chora? Ale odrzucił tę myśl. Była jeszcze przecież stara Dresia, inaczej mówiąc Dorota, kucharka i gospodyni Małgorzaty, „odziedziczona" po rodzicach. Przy tym prasa nadchodziła bez zmiany, a jakikolwiek przypadek znanej literatki, wchodzącej w dodatku w skład redakcyjny, nie mógłby przejść bez echa.

— Więc co?

Natomiast wyczytał pewnego dnia notatkę o groźnym pożarze na kopalni Towarzystwa Naftowego, o doszczętnym zniszczeniu czterech najsilniej eksploatowanych szybów, o wielomilionowych stratach itd., itd...

Straszne podejrzenie poczęło kroplami wsączać się w duszę Zygmunta. Widocznie Małgorzata uważa sytuację finansową narzeczonego za zachwianą i może żałuje powziętej decyzji... A tamten... może cudem wyróść spod ziemi... wrócić do łask... (bogaty jak Krezus)...

Zygmunt rozpaczliwie otrząsał się z tych myśli, ale gdy minęło dziesięć dni — dwa tygodnie — a potem zaczął mijać trzeci — a list od Maty nie przychodził — gorycz zalała go, a ból począł trawić gorzej choroby. Cierpiąca miłość i dojmująca tęsknota, ból nowego — najokropniejszego — zawodu, zraniona miłość własna, zdeptana ufność człowieka — zmieniły Zygmuntowi życie w piekło. Co wieczór i w noce wsłuchiwał się aż do bólu, czy nie usłyszy w sąsiednim pokoju dźwięku telefonu. Ale nie usłyszał... Klimek na noc zdejmował słuchawkę z widełek...

Twarz Zygmunta schudła i zbladła, usta zacięły się, oczy zapadły i płonęły sucho. Klimek markotny i milczący po dziesięć razy dziennie biegał na pocztę, modląc się po drodze do wszystkich dobrych duchów o blado-niebieską kopertę. Nawet nie odzywał się już do swego pana; razem z nim nie jadł, nie sypiał po nocach, chociaż nie przyznałby się do tego za żadne skarby świata.

Zygmunt stępiał na wszystko, co działo się wokół. Machinalnie pełnił swoje funkcje, bez zapału i ochoty. Mierziło go wszystko. Nie mógł znosić widoku ludzi. Bo i tam... w prasie... poczęło się psuć, zmieniać. Poezje Maty nagle przestały się ukazywać, a te które się ukazały (zaledwie kilka) nasycone były tragicznym niemal cynizmem i zwrócone były przeciw niemu i ich miłości tak wyraźnie, że Zygmunt odrętwiał cały, zamknął się w sobie — przestawał istnieć.

Dokończenie w następnym numerze

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau. Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 220 61 ap. 64. Wydawnictwo Wielopole 1 tel. 135 60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

KĄCIK BRIDŻOWY NR 7

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Partner kontrującego (Y) z reguły licytuje swój najdłuższy i najlepszy kolor, przy tym, jeżeli kolor ten jest naprawdę dobry i nadawałby się do licytacji nawet, gdyby nie było kontry amerykańskiej ze strony partnera, to dobrze jest zaznaczyć, że odzywka nie jest „wymuszona" nakazem partnera, przez zalicytowanie o punkt wyżej. Np. A — pik, X — kontra, B — pas, Y — 3 trefle. Jeżeli kolorem najdłuższym i jedynie nadającym się do licytacji jest przypadkowo właśnie, zaanonsowany przez A i skontrowany przez X-a — wówczas Y może spasować i usankcjonować w ten sposób kontrę amerykańską na zwykłą, wychodząc z założenia, że przy tym rozkładzie atutów i przy bokach partnera (o czym powiadomiony został kontrą na jedno) para AB nie powinna zapowiedzianej gry (1 pik) zrealizować.

Jednakże nie wolno mu pasować, jeżeli to „jedno" z kontrą dogrywa, lub jeśli była rekontra ze strony skontrowanej, bowiem ryzyko łatwego przysporzenia przeciwnikom dogranej jest zbyt wielkie.

Może się wreszcie zdarzyć, że partner kontrującego nie ma żadnego wyraźnego koloru, posiadając jednocześnie silne przetrzymanie koloru przeciwnika A.

W takim wypadku licytuje „bez atu" musi tu jednak zwrócić baczną uwagę na to, jaki jest rozkład kart, a mianowicie jeżeli kontrujący siedzi za skontrowanym (A — kolor, X — pas, B — pas, Y — kontra) — szczęśliwy rozkład jest raczej po stronie AB.

Kontra na jedno bez atu oznacza również chęć wywołania licytacji ze strony partnera.

Kontruje się na jedno bez atu wówczas, jeśli się ma dobrą kartę bez wyraźnego koloru.

Partner skontrowanego prawie zawsze pasuje, o pomocy powiadamia przez rekontrę.

Partner kontrującego licytuje swój najdłuższy i najlepszy kolor, przeskakując o punkt wyżej, jeśli kolor ten jest istotnie dobry i licytacja jego nie była „wymuszona".

Zaanonsować dwa bez atu może jedynie przy wybitnym uwzględnieniu rozkładu kart.

Pasuje, czyli zostawia kontrę w bardzo nielicznych wypadkach tylko przy dobrej karcie, oczywiście pod warunkiem, że to jedno bez atu z kontrą nie dogrywa i że nie było rekontry.

Obrona robra — to niedopuszczenie strony, będącej po pierwszej manszy — do osiągnięcia drugiej dogranej czyli robra.

Obronę tę stosuje strona, będąca sama przed pierwszą manszą, wychodząc z założenia, że skoro wpadki kosztują jeszcze pojedynczo, może lepiej jest „leżeć" choćby bez kilku nawet z kontrą, byleby przeciwnicy nie skończyli robra.

W następnych rozdaniach może przyjść lepsza karta i straty się wyrównają.

Oczywiście przy obronie robra licytacja jest mniej prawidłowa i za wysoka, a gra się jedynie po to, by przeciwnikom „wyrwać" kończącą robra grę i z góry jest się przygotowanym na wpadkę.

Broni się naturalnie tylko robra, a nie pierwszej manszy.

Obrona strony będącej po manszy, jest niewskazana, gdyż wpadki są już zbyt kosztowne i mogą się nie opłacić.

Ważną jest również t. zw. **obrona zapisu**, tj. niedopuszczenie strony, będącej po pierwszej manszy — do grania zbyt niskiej gry; nadróbki bowiem liczą się im podwójnie, przeciwnicy mogą zarobić zbyt wiele punktów.

Należy ich wtedy „podlicytować", uważając jednocześnie, aby przez zbyt pochopne „windowanie" przeciwników nie sprowokować ich wysokiej zapowiedzi, która dogrywa. Wówczas należałoby znów rozpocząć znacznie już kosztowniejszą obronę robra.

Obrona robra i zapisu jest czynnością bardzo delikatną i stosować ją należy ostrożnie i z rozwagą.

Dobrze jest — jeśli możliwe — zaznaczyć, że odzywka jest nieprawidłowa i zgłoszona tylko dla obrony, t. zn. licytować dopiero w drugim obiegu czyli już po jednym swoim pasie.

Przy obronie bardzo często zdarza się amerykańska kontra „na jedno".

Większość partyj grywa z t. zw. **„licytowanym szlemem i szlemikiem"**, t. zn. za zamówienie szlemika lub szlema otrzymuje się **dodatkową** premię w wysokości 1000 p. (za szlemika) i 2000 p. (za szlema).

W razie przegrania premia ta przechodzi na przeciwników.

Przy kontrze i rekontrze premia ta się nie mnoży. I tak jeśli np. para AB zapowiedziała szlemika — otrzymuje nad kreską zapis 1250 p. (1000 premia, 200 szlemik, 50 bon joué (dobra gra).

W wypadku zamówienia szlemika, a osiągnięcia szlema — 1500 p. (1000 — premia za szlemika, 400 za szlema, 100 nadróbka i bien joué).

W razie przegrania „bez jednej" — przeciwnicy (XY) zapisują 1100 p. (1000 premia + 100 za wpadkę bez jednej) z kontrą 1200 p. (1000 premia + 200 za wpadkę bez jednej z kontrą).

Zamawiając szlema otrzymuje się w razie wygrania 2450 p. (2000 premia, 400 szlem, 50 bien joué), przegrywając „bez jednej", traci się na rzecz przeciwników 2100 p. itd.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 7
(Paliwoda-Matiolański)

B:
♠ 3.
♥ K.6.5.4.
♦ As.K.7.3.2.
♣ As.W.4.

X:
♠ K.D.W.8.
♥ W.10.
♦ D.W.10.8.
♣ K.D.8.

Y:
♠ 9.7.4.2.
♥ D.2.
♦ 9.6.5.
♣ 9.6.5.2.

A:
♠ As.10.6.5.
♥ As.9.8.7.3.
♦ 4.
♣ 10.7.3.

A rozgrywa kiery i robi wielkiego szlema. X atakuje damą karo. Podać przebieg rozgrywki.

Rozwiązanie problemu Nr 6:

B:
♠ 6.5.4.3.2.
♥ 10.9.8.7.6.2.
♦ W.10.
♣ —

X:
♠ —
♥ —
♦ 9.8.7.6.5.4.3.2.
♣ A.D.10.8.3.

Y:
♠ 10.9.8.7.
♥ W.5.4.3.
♦ —
♣ 7.6.5.4.2.

A:
♠ A.K.D.W.
♥ A.K.D.
♦ A.K.D.
♣ K.W.9.

Na krańcu dziwactwa rozkładów stoi klasyczna ręka (A), na którą, jak fama niesie, książę Cumberland przegrał 4.000 funtów: Imponująca pod względem siły ręka A nie daje mu ani jednej lewy, gdy X rozgrywa trefle. Obojętne od czego B zaczyna, X lub Y przebija. Następnie X przebija kara na stole i dwa razy impasuje trefle. Po trzykrotnym przebiciu kar na stole, wszystkie kara zostają wyrobione i X robi **wielkiego szlema** w trefle!

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

SĄD SALOMONOWY

Gdziekolwiek ruszę się — kobiety
rozwodzą nad mężczyzną żale:
że egoista... łotr... i kretyn...
łgarz... wyzyskiwacz... — i tak dalej.

A „oni" znów, gdzie nogą stanę
mówią, że baba łotr — nic więcej!
że nadużyje... życie złamie...
że ani rozum w niej... ni serce...

Próżno by mędrzec o mur łbem tłukł
ażeby dojść do racji sedna!
Wśród żalów tych i faktów steku
dać słuszny sąd — łatwo się nie da!

A więc słuchajcie moi bliźni
(lada wam gęba tak nie rzeknie...):
Prawda — że łotry są mężczyźni!
Prawda to — że są baby wściekłe!

Morowy: gęś nabija w butlę...
Morowa: osłu życie skraca...
Wart jest (i tym dyskusję utnę)
pałaca Pac, a pałac Paca.

Krysta Opalińska



— Proszę pana, zauważyłem, że pan kichnął, a w chwilę później nasz dyrektor. Proszę sobie zapamiętać, że dyrektor ma zawsze pierwszeństwo!
Rys. J. Paluch — Kraków

Sędzia — To wyście stracili ucho w bitwie? Nie można go było przyszyć?
— Jakże panie sędzio, przecież poszło do aktów...

*

— Jakże się pan czuje w małżeństwie?
— Świetnie. Po całych dniach jej nie ma w domu, a po całych nocach mnie nie ma w domu. Żyjemy zupełnie zgodnie.

*

— Dziwna rzecz, nigdy się nie słyszy, by kasjerka uciekła kiedykolwiek z kasą.
— Naturalnie, każda, w razie czego, zabiera ze sobą i swego szefa.

*

— Józefie, czy ty sądzisz, że od masowania się chudnie?
— Na pewno, proszę pana, od czasu jak pana masuję, straciłem na wadze trzy kilogramy.

*

— Proszę cię, czytałem właśnie ogłoszenie, że poszukiwani są robotnicy obojej płci do pracy za dobrym wynagrodzeniem.
— Tam do licha! Jaka szkoda, że ja się tylko do jednej zaliczam.

*

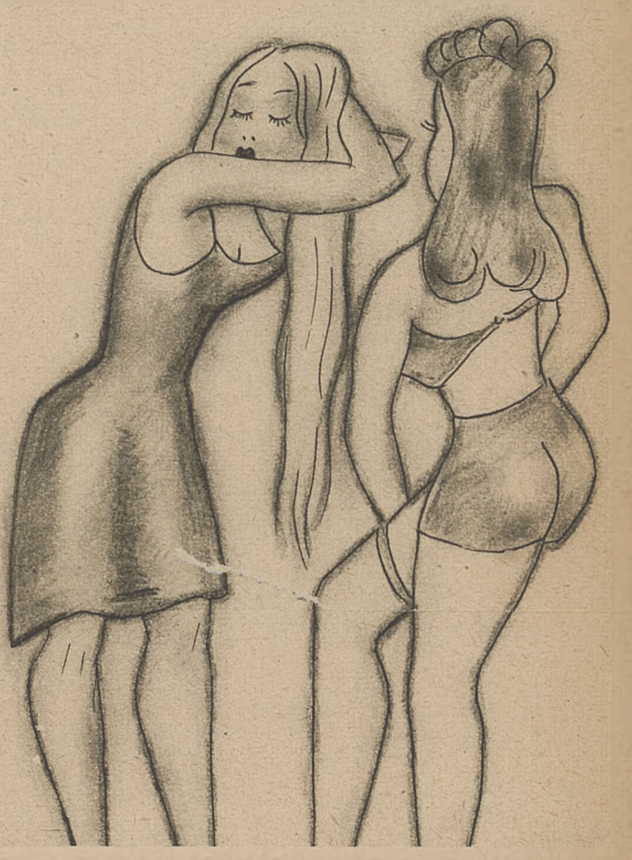
Kociołek i Korytko rozmawiają o interesach.
— Widzisz — mówi Kociołek — największą rolę w życiu gospodarczym odgrywa reklama. Dam ci przykład: Jak gęś składa jajko, to siedzi cicho. Jak kura składa jajko, to głośno krzyczy. Jaki jest skutek? Jaj gęsich, choć większe nikt nie kupuje, a na kurze jest olbrzymi popyt.

*

Mały Jasio ciągnie psa za ogon.
— Jasiu! Nie rób tego, piesek może cię ugryźć — upomina matka.
— O, mamusiu, ja się nie boję, piesek z tej strony nie ma zębów.

*

— Po kolacji żona moja zaśpiewa państwu kilka pieśni ze swego najnowszego repertuaru.
Gość (szepcze z przerażeniem w oczach do sąsiada) — Zaraz miałem złe przeczucia, że zajdzie coś przykrego, gdy rozsypała się sól.



W GARDEROBIE TEATRALNEJ
— Słuchaj Haneczko, kto cię tak poskrobał po nosie?
— E, to głupstwo, chciałam tylko dyrektorowi powiedzieć „dzień dobry", a on miał pióro za uchem.
Rys. Paliwoda-Matiolański



BŁYSKAWICZNY WYWIAD
— Co, trening?
— Nie, wierzyciele!
Rys. Stes-Kraków

KRYTYCZNA
Do Adama raz rzekła Ewa z kwaśną miną.
— Takiś ty niekrytyczny: wierzysz w wszystkie baje.
Wmawiasz we mnie, że kraj ten nazywa się rajem;
a gdzież tu fryzjer, złotnik, cukiernia i kino? —

O PANNO JANKO!!!
Byłem z Tobą, jechałem i kopałem z Tobą...
Jednymi z Tobą glinę woziłem taczkami
z tej samej szklanki wódkę piłem, z tejże rynki
kartoflankę jedliśmy — czy pani pamięta??
... Z tego dziś ten wiersz powstał!!! O miła osobo,
choć ponadto nie zaszło nic pomiędzy nami.
żądam pani adresu. Proszę głupiej minki
nie robić; muszę z Pani ściągnąć alimenta!

Wujcio z Komina



— Ja osobiście wolę flet... Rys: R. Muchnicki — Kraków

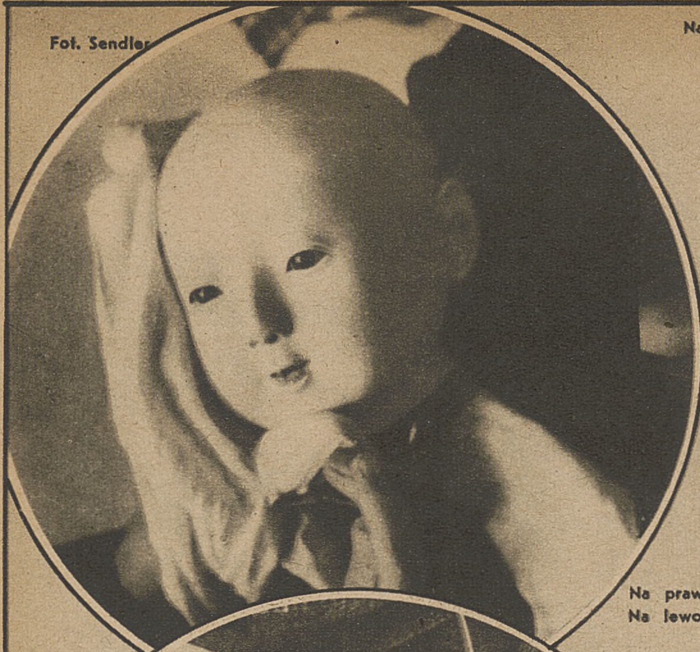
KARYKATURA POLITYCZNA



DE GAULLE W MOSKWIE
— Panie generale, prosimy złożyć podpis w naszej złotej księdze...
Rys. Jamin-Scherl

JAPOŃSKA SZTUKA

Fot. Sendler



Na lewo: Główka lalki w robocie.



Choć Japonia przyswoiła sobie wszystkie zdobycze naukowe i techniczne rasy białej i stała się jednym z czołowych narodów naszej cywilizacji, umiała ona przy tym zachować w pełni swą starą oryginalną kulturę i właściwy jej tradycyjny stosunek do życia. Znajdują one wyraz choćby i w tym, że Japończyk pomimo industrializacji i urbanizacji kraju ubiera się gdy tylko może w dawne narodowe stroje, że mieszka po japońsku i otacza się przedmiotami wykonanymi w stylu japońskim.

Ryciny nasze — to szereg luźnych zdjęć migawkowych — z różnych działów tego japońskiego rzemiosła, względnie przemysłu, które zaopatrują kraj w wyroby stylowe. Wyrobionego smaku Japończyka nie zadawala stereotypowa tandeta; żąda on od rzemieślnika technicznie doskonałego dzieła o wysokim artystycznym poziomie. Czy to ma być główka lalki, czy wieczko do pudełka czy ornamentem pokryta płyta drewniana, musi być, aby zadowolić nabywcę, precyzyjnie wykonanym arcydziełkiem sztuki. Cóż dopiero kimono! Nie tylko materiał jedwabny musi być bez skazy lecz i deseń, i dobór barw i ich jakość wzbijać się muszą aż do wyżyn artystycznej doskonałości. Wyprodukowanie sztuki jedwabiu to tylko pierwsza wstępna faza: właściwy trud przypada na farbiarza, który ową białą tkaninę pokrywa skomplikowanym, oryginalnym ornamentem i zmienia go w barwny cud, przy pomocy barw, odpornych na działanie czasu i słońca.

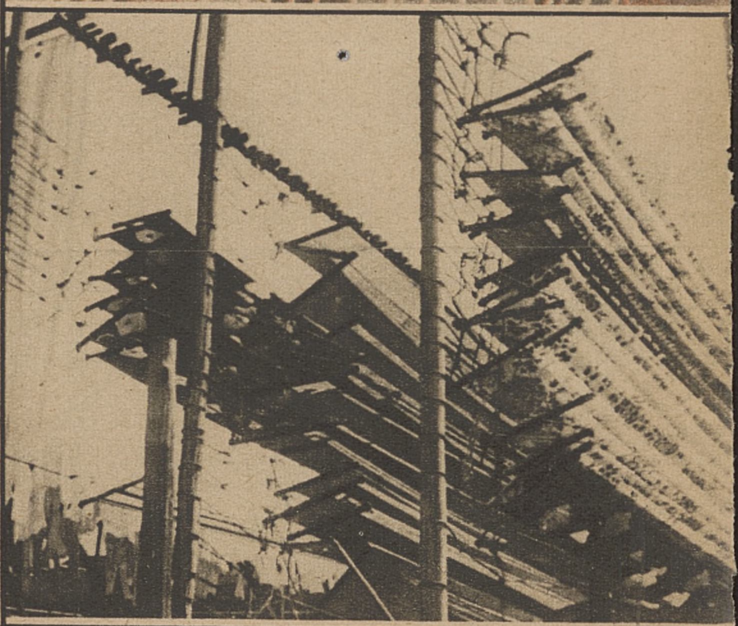
Na prawo: Wykańczanie deseniu na kimonie.

Na lewo: Artysta maluje na wieczku pudełka ptaka.

Większość reprodukowanych tu zdjęć stanowią zdjęcia z farbiarni materiałów na kimona. Trzy inne zaczerpnęliśmy z innych działów japońskiego rzemiosła, aby pokazać jakiej precyzji wymaga się w Japonii przy zdobieniu jakiejkolwiek powierzchni, czy to ornamentem kolorowym czy też liniowym. Zwracamy uwagę na nieporównaną subtelność w tonowaniu powierzchni na główce lalki i upierzenia na stylizowannych ptakach.









Na lewo: Japonki w strojach z jedwabiu. Przemysł japoński umie dziś przerabiać jedwab na materię o zaletach wełny.

Na lewo: Fragment z farbiarni jedwabiu.

Poniżej: Rzemieślnik zaczyna ornament w drzewie.

Powyżej: Suszenie materii na kimono

Poniżej: Naczynia japońskie zdobione artystycznym ornamentem.

